

# PETRA HÜLSMANN

## Szczyście dla zuchwałych

Tłumaczenie  
**AGNIESZKA HOFMANN**



WYDAWNICTWO  
INITIUM

KRAKÓW 2019

*Carolin, Henrikowi, Marie, Lindzie i Pietowi*

*(w kolejności chronologicznej)*

*– za to, że czynicie świat nieco bardziej kolorowym*



Znowu byłam potwornie spóźniona. Wstałam bladym świtem – była dwunasta w południe – a w radiu już leciały wiadomości o czternastej. To oznaczało, że właśnie w tej chwili odjeżdża kolejka, którą chciałam zdążyć na wiosenny festyn w stoczni. Dopiero jadłam śniadanie, a musiałam jeszcze się ubrać. Co robiłam przez ostatnie dwie godziny?

– Czy ty nie musisz już się zbierać, Marie?

Obejrzałam się za siebie. W drzwiach kuchni stała Hanna – moja współlokatorka i najlepsza przyjaciółka. Była w piżamie, a długie rude włosy upięła na czubku głowy w coś, co przypominało ptasie gniazdo. Do ósmej rano balowałyśmy z Samem w knajpce w rozrywkowej dzielnicy Hamburga. Po Hannie było to widać.

Pośpiesznie przełknęłam dwie ostatnie łyżki płatków.

– Owszem, muszę. I to natychmiast. Już jestem spóźniona.

Na jej twarzy wykwitł szeroki uśmiech.

– Rozumiem. Czyżby w czasoprzestrzeni znowu pojawiła się dziura?

– Tak. I zupełnie nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Mogę wziąć coś z twojej szafy? – zapytałam i nie czekając na odpowiedź, ruszyłam do pokoju Hanny.

– Nie krępuj się – zawołała za mną. – Swoją drogą to może mieć coś wspólnego z twoimi świeżo zrobionymi paznokciami.

Na chybił trafił wyciągnęłam z szafy parę ciuchów. Na koniec natknęłam się na wyjątkowo odjechaną sukienkę mini – bez rękawów, w stylu lat siedemdziesiątych, w psychodeliczny zielono-pomarańczowy deseń. Wow, ale kiecka! Zsunęłam z ramion krótkie kimono i założyłam sukienkę. Ze sterty pod wieszakiem w przedpokoju wykopałam zielone botki i czerwony kapelusz z obwisłym rondem; jeszcze wisienka na torcie – wielkie okulary słoneczne, również należące do Hanny.

Zadowolona obejrzałam się w lustrze, po czym wróciłam do kuchni i wygięłam się jak modelka na wybiegu paryskiego tygodnia mody.

– No? I co ty na to?

Hanna parsknęła śmiechem.

– Na koncert szlagierów retro idealnie.

Zawiedziona zwiesiłam ręce, które jeszcze przed chwilą kokieteryjnie spoczywały na moich biodrach.

– Ale ta sukienka jest świetna. Sama ją projektowałaś, prawda?

Hanna była projektantką mody i wykonywała zlecenia dla niewielkiej niszowej marki z Hamburga.

– Tak, ale zdecydowanie przesadziłaś z dodatkami. Nie możesz pójść tak odstawiona na drobnomieszczański festyn w staroświeckiej stoczni twojego konserwatywnego ojca. I dobrze o tym wiesz.

– Hm.

Mnie pomysł wydawał się całkiem dobry. Niezdecydowanie popatrzyłam po sobie i wygładziłam sukienkę. Nie wiedziałam, dlaczego ojciec tak się upierał, żebym była na tym festynie, po tym, jak w zeszłym roku wypijałam odrobinę za dużo prosecco i przez pomyłkę zaczęłam się obściskać z osiemnastoletnim synem naszego stałego klienta. A rok wcześniej wywołałam ogólną konsternację, pojawiając się w stroju zgodnym z trendem *bad taste*. Co naprawdę nie było moją winą. Przecież nikt nie mógł wymagać, żebym przyszła na brunch o dziesiątej rano wymuskana, skoro o dziewiątej wyszłam z imprezy. Ale zjawiłam się punktualnie, tak na marginesie.

A teraz nie kto inny jak ja, czarna owca w rodzinie Ahrensów, po raz kolejny miałam odegrać rolę przykładnej córeczki na cholernym festynie, chociaż, po pierwsze, nie byłam w tym ani trochę dobra, a po drugie, i tak wszyscy mieli mnie za imprezową lalę, która do niczego w życiu nie doszła. Dlaczego więc nie miałabym pozwolić sobie na tę jedną przyjemność i pojawić się w kompletnie nieodpowiednim stroju, który dosłownie krzyczałby im w twarz... „Mam was gdzieś!”. A tak w ogóle to kochałam tę kieckę! Przez głowę jednak przemknęło mi wspomnienie przygnębiającego okresu sprzed paru miesięcy, zawału ojca i pełnych lęku dni spędzonych w szpitalu, kiedy nie wiedzieliśmy, czy z tego wyjdzie. Nie chciałam, żeby przez mój wygląd dostał kolejnego zawału.

– No dobrze – zgodziłam się. – Niech będzie bez dodatków. Ale sukienkę biorę. – Cmoknęłam Hannę w policzek. – Zobaczymy się wieczorem. Zwinę się stamtąd najpóźniej o dziesiątej. Daj mi znać, gdzie będziesz.

Poszłam do swojego pokoju i rzuciłam okiem na łóżko. Sam jeszcze spał; miał zmierzwione włosy i pochrapywał cicho. Z błogością przesunęłam wzrokiem po jego umięśnionym wytatuowanym torsie. Ten facet stanowił dla mnie uosobienie słowa „fascynujący” – nic się pod tym względem nie zmieniło, od kiedy poznałam go czternaście miesięcy temu.

Sam był fotografem, mieszkał w Berlinie i sporadycznie wpadał do Hamburga w sprawach zawodowych. Zwykle to on dzwonił, spotykaliśmy się, wychodziliśmy na miasto, a nocę spędzaliśmy razem. Nie byliśmy parą, raczej przyjaciółmi, którzy od czasu do czasu ze sobą sypiają.

Usiadłam na skraju łóżka i pocałowałam Sama w usta. Powoli otworzył oczy i zamrugał parę razy, jakby musiał sobie przypomnieć, gdzie jest. Gdy na mnie popatrzył, na jego twarzy wykwitł uśmiech.

– Hej, bejbe – mruknął zaspany.

– Hej. Chciałam się tylko pożegnać.

Objął mnie w talii, przyciągnął do siebie i pocałował przeciągle.

Trudno, i tak już jestem spóźniona, pomyślałam i odwzajemniłam pocałunek.

Pół godziny później moje ciuchy leżały rozrzucone na podłodze, fryzura była wspomnieniem, a makijaż zapewne nadawał się do poprawy.

– Naprawdę muszę lecieć, Sam.

– Ach, zapomnij o tym głupim festynie. Przecież tak naprawdę wcale nie chcesz tam iść.

– Nie chcę, ale muszę. Ojciec mnie zabije, jak nie przyjdę. – Czułam, jak wszystko we mnie się jeży na myśl o tym, żeby opuścić ciepłe łóżko i ruszyć we wrogi świat. – Może poszedłbyś ze mną?

Sam odskoczył ode mnie, jakbym nagle zapadła na jakąś wyjątkowo zaraźliwą chorobę.

– Słucham?

Spróbowałam uporządkować palcami włosy.

– Mógłbyś mnie wesprzeć. To dopiero byłby czad, gdybym przedstawiła im wszystkim swojego kochanka, wyobrażasz sobie?

Gapił się na mnie bez słowa.

– Znaczący... to byłoby zabawne... – Wciąż nie reagował, więc dorzuciłam niepewnie: – Chyba?

– Eee... Wkręcasz mnie.

Zawahałam się na ułamek sekundy, a potem szturchnęłam go w ramię.

– No jasne – odparłam ze śmiechem. – Nabrałeś się!

Wyraźnie się odprężył.

– Wow, ale mi napędziłaś stracha... A już myślałam, że zamieniasz się w kobietę rzep.

– No co ty! Wyluzuj.

Wstałam, zebrałam ciuchy z podłogi i poszłam do łazienki, żeby ponownie zrobić się na bóstwo. Przywracając do porządku fryzurę i makijaż, łajałam sama siebie za tę chwilę słabości. Przecież wcale nie chciałam, żeby Sam poszedł tam ze mną. Potrafiłam sobie radzić bez niczyjej pomocy, zawsze

tak było. Nie byłam typem przylepy, nie chciałam też, żeby ktoś kleił się do mnie. Sam i ja nie byliśmy od siebie uzależnieni. I właśnie dlatego tak dobrze funkcjonował nasz związek.

Kiedy ponownie zaczęłam przypominać córkę właściciela stoczni jachtowej, pożegnałam się z Samem.

– Zobaczymy się potem?

– Chyba nie – rzucił. – Wracam do Berlina.

– Jasne. To na razie. – Przybiłam z nim żółwika.

– Widzimy się, bejbe – odparł i odwzajemnił gest.

Ze stacji kolejki Sternschanze pojechałam do Landungsbrücken, gdzie razem z czterystoma turystami i dwusetką hamburczyków wcisnęłam się na prom, żeby przedostać się na drugą stronę Łaby, do Finkenwerder. Prawie cały kwiecień padał deszcz, ale teraz, punktualnie na weekend, wiosna przyszła pełną parą i ludzi ciągnęło w plener. Pokonując resztę drogi pieszo, czułam wzmagający się ucisk w dołku – jak zawsze. Już z daleka widziałam firmową tablicę przy bramie wjazdowej: „Stocznia Ahrens – łodzie żaglowe z tradycjami”. Może powinnam dopisać pod spodem: „W posiadaniu rodziny od niemal stu dwudziestu lat – przetrwaliśmy dwie wojny światowe i kilka dużych kryzysów stoczniowych!”. Właśnie te słowa usłyszałam z ust ojca minimum sto tysięcy razy. Mogłabym jeszcze dodać: „Dotrzymujemy terminów dostaw. Gwarantuję to nazwiskiem. I trzema zawałami serca. Z poważaniem, Johann Ahrens”. Wprawdzie po pierwszym zawale, dwanaście lat temu, ojciec powierzył kierowanie firmą mojej starszej o siedem lat siostrze Christine, ale i tak nie potrafił odpuścić i bez przerwy się wtrącał w firmowe sprawy. Przyplącił to dwoma kolejnymi zawałami. Dopiero wtedy oficjalnie



wycofał się z interesów. Teraz mieszkał na wyspie Sylt, ale od Christine wiedziałam, że nadal po cichu pociąga za sznurki i wydzwania do niej co najmniej trzy razy dziennie, żeby skontrolować, co się dzieje w stoczni.

Stałam przed bramą i nie mogłam się przemóc, by wejść do środka. Ostatni raz byłam tu rok temu. Omiotłam spojrzeniem teren, żeby sprawdzić, czy coś się zmieniło. Po prawej stronie znajdowały się podłużna hala produkcyjna, kilka mniejszych budynków magazynowych i hangar zimowy. Wszystko wyglądało po staremu. Ale biurowiec po lewej poddano renowacji i rozbudowano. Od frontu miał reprezentacyjną przeszkloną fasadę, przez którą widać było recepcję. Za plecami miałam niewielki port jachtowy z łodziami pokazowymi oraz miejscami do cumowania, które wynajmowano, podobnie jak miejsca zimowania. Zdawałam sobie sprawę, że obowiązki wzywają, ale marina przyciągała mnie w niemal magiczny sposób, jak zawsze. Przyrzekłam sobie, że w tym roku tam nie pójdę, jednak moje stopy same poniosły mnie w stronę basenu portowego.

Przy czterech pomostach lekko kołysały się żagłówki w najróżniejszych rozmiarach i modelach, począwszy od małych jolek po wielkie jachty. Powoli maszerowałam wzdłuż pierwszego pomostu, oglądając stare koleżanki. Nagle przystanąłam. Na końcu pomostu cumował mój Laser. Odkąd skończyłam siedemnaście lat, omijałam go szerokim łukiem, podobnie jak stocznię, a mimo to od razu potrafiłam rozpoznać tę małą żagłówkę spośród tysięcy innych. Już miałam się obrócić na pięcie i uciec, ale pchana jakąś podświadomą siłą, poszłam dalej, aż w końcu stanęłam na wprost jolki.

– Kto cię wyciągnął z hangaru? – wyszeptałam.

W głowie mimowolnie przewinęły mi się obrazy, które schowałam głęboko w sobie. Jak przy siedmiu stopniach w skali Beauforta wisiałam wychylona za burtę w uprzęży asekuracyjnej, wokół szalał zimny wiatr, a ramiona bolały mnie z wysiłku. Jak wydymały się żagle, a ja dosłownie frunęłam tuż nad wodą, przepelniona tym niewiarygodnym uczuciem wolności, jakie wywoływało we mnie żeglowanie.

To pewnie ojciec kazał wyciągnąć łódź z hangaru, żeby zademonstrować mi ją jako pomnik pamięci mego przegranego życia. A ja w tę pułapkę wdepnęłam. Stałam na wprost mojego Lasera, a w uszach dudnił mi jego niemy wyrzut: „Zostawiłaś mnie w potrzebie”. Ale my już do siebie nie należeliśmy. Ten rozdział w moim życiu był zamknięty, ja zaś miałam uzasadnione powody, by do niego nie wracać.

Odwrociłam się pośpiesznie i przeszłam na sąsiedni pomost, przy którym cumowały łodzie pokazowe. Stocznia specjalizowała się w niedużych jachtach, jolkach i day cruiserach. Dlatego nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy pomiędzy żaglówkami ujrzałam w całej wypasionej okazałości luksusowy jacht żaglowy. Miał około pięćdziesięciu metrów długości, lśnił bielą i dosłownie bił po oczach przechwałką: „Mój właściciel jest bardzo bogatym człowiekiem!”. Ta luksusowa poczwara nie mogła powstać w stoczni Ahrensa, to niemożliwe. Ale... widoczne na kadłubie logo potwierdzało w sposób jednoznaczny, że tak właśnie było. „Ocean Cruiser 2100” – przeczytałam pod znakiem firmowym. Od kiedy to stocznia miała w ofercie takie jednostki?

– Proszę, proszę, kto by pomyślał. Młoda panna Ahrens – usłyszałam nagle za plecami.

Drgnęłam i odwróciłam się. Daniel Behnecke – pacholek i prawa rączka ojca. Jeszcze jego tu brakowało...

Behnecke był inżynierem budowy okrętów i pięć lat temu objął w stoczni stanowisko managera projektów. Liżąc tyłek, komu trzeba, wspiał się po szczeblach kariery i teraz zarządzał firmą razem z Christine. Od pierwszego wejrzenia zapalaliśmy do siebie niechęcią. Dobrze pamiętam, jak poznaliśmy się na sześćdziesiątych piątych urodzinach ojca: mój ówczesny chłopak tuż przed imprezą podstępem poczęstował mnie haszyszowym ciasteczkim, wskutek czego byłam na niezłym haju. Daniel Behnecke natknął się na mnie w ogrodzie; siedziałam na jabłonce, na którą wlałam, żeby zobaczyć z wysokości Helgoland (wtedy wydało mi się to jak najbardziej logiczne). Niestety, schodząc, wykazałam się pewną niezgrabnością i spadłam prosto pod nogi tego nudziarza, po czym dostałam ataku śmiechu. Nigdy nie zapomnę pogardy w jego spojrzeniu.

Od kiedy usłyszał, jak długoletni kontrahent mojego ojca, von Heesen, nazwał mnie „młodą panną Ahrens”, zwracał się do mnie tak samo. Nienawidziłam tego.

– Pan Behnecke. Spotkanie z panem to zawsze przyjemność. Co to za... eee... statek? – zapytałam, wskazując za siebie. – Dla kogo został zbudowany?

– Dla nikogo. – Miął mnie i sprawdził, czy drzwi do Ocean Cruisera są zamknięte. Może myślał, że się włamałam. – To model pokazowy. Najnowszy projekt stoczni Ahrensa.

Na moment mnie zatkało.

– Czy mój ojciec na stare lata stał się szalonym megalomanem?

Daniel Behnecke wzruszył ramionami.

– Trzeba się rozwijać. To się nazywa „wizja przedsiębiorcza”.

Prychnęłam.

– Tak. Albo przedsiębiorcze samobójstwo.

– Samobójstwem byłoby nie mieć wizji. Swoją drogą na pani miejscu bym się pośpieszył. Ojciec przez pani spóźnienie dostaje białej gorączki.

Och, jak ja nienawidziłam tego drętwego typu!

– Dziękuję za przypomnienie, inaczej gawędziłabym tu sobie z panem jeszcze parę godzin. Wie pan co? Wspomnę o tym ojcu, na pewno da panu w nagrodę ciasteczko.

Po tych słowach odwróciłam się i weszłam na teren stoczni.

Festyn jak co roku odbywał się na tyłach hali produkcyjnej, skąd rozciągał się najpiękniejszy widok na Łabę. Powoli przedzierałam się przez tłum w poszukiwaniu ojca albo Christine. Ludzie śmiali się, tańczyli, jedli przy bufecie. Na brzegu rzeki ustawiono scenę, na której DJ właśnie puszczał *La Palomę*. W ogrodowym pawilonie wydawano piwo, a wśród gości dodatkowo uwijało się paru kelnerów – z tacami pełnymi kieliszków wina i prosecco.

– Marie! Hej, Mariiiiiieeee!

Podbiegł do mnie chudy, ciemnowłosy chłopaczek. Max, mój siedmioletni siostrzeniec. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, jakby włożył palce do kontaktu, nos miał usiany piegami, a buzię rozpromieniał uśmiech. Tuż za nim dreptała

jego dwa lata starsza siostra Antonia, nazywana przez wszystkich Toni. Ona też miała ciemne włosy i piegi, ale nie była tak szczupła. Max rozpostarł ramiona i pozwolił mi się podnieść.

– Hej, ile ty ważysz? Worek cementu to przy tobie nic! – zażartowałam.

Toni nie lubiła uścisków, ale i ona promieniała z radości, kiedy postawiłam Maksa i pogłaskałam ją po zaplecionych w skomplikowaną fryzurę włosach.

– Elegancko wyglądasz.

Przejechała dłonią po głowie.

– Fajnie, co? Mama mi zrobiła. Dziadek jest na ciebie wściekły, że się spóźniłaś.

– W takim razie powiedz mi, gdzie go znajdę.

Po drodze dojrzałam parę znajomych twarzy – pracownicy stoczni, stali klienci i handlowcy. Niektórzy witali mnie skinieniem głowy i śledzili ciekawskim wzrokiem. Natychmiast przypomniało mi się, jak w zeszłym roku opiałam się razem z Florianem Fechtnerem nieprawdopodobną ilością proscoco, a potem zaczęłam się z nim obściskować. Rany, wielka mi afera. To nie powód, żeby tak się na mnie lampić. Wyprostowałam się, zadarłam głowę i przywołałam na twarz miły uśmiech, krocząc przez tłum za Toni i Maksem.

– Patrz, dziadek jest tam! – zawołał mój siostrzeniec.

Ojciec stał przy stoliku bistro opodal bufetu. Od naszego ostatniego spotkania jeszcze bardziej wychudł, jego twarz zrobiła się szara, a rysy ostre. Nie sprawiał wrażenia zdrowszego niż trzy miesiące temu, zaraz po zawale. Mimo to wciąż emanował aurą twardości i nieustępliwości.

– Cześć, tato – powiedziałam, podchodząc bliżej.

Zmrużył oczy i przyszpilił mnie stalowym wzrokiem. Jego dłoń tak mocno zaciskała się na szklance z wodą, że aż pobielaly mu knykcie.

– Dobrze wyglądasz. Sylt wyraźnie ci służy – skłamałam i objęłam go, zachowując lekki dystans.

Ani drgnął, sztywny i wyprostowany.

– A cóż to znowu za przebranie? – wyrzucił zamiast powitania, wskazując na moją sukienkę.

Toni i Max, wietrząc awanturę, oddalili się pośpiesznie.

Spojrzałam po sobie.

– To designerska sukienka.

– Zabrakło pieniędzy na więcej materiału, tak?

– Nie zabrakło, ale ponieważ od lat sześćdziesiątych kobietom wolno pokazywać nogi, wydała mi się całkiem w porządku.

Niechętnie pokręcił głową.

– Co ty w ogóle sobie myślisz, żeby tak się spóźniać? Nie możesz choć raz w roku przyjść punktualnie?

– Przepraszam. Coś mi wypadło.

– Ach tak – prychnął ojciec. – Co takiego? Impreza? A może twoja bardzo ważna praca w kasie aquaparku?

Wzięłam głęboki wdech.

– Nie pracuję tam od ponad roku.

– No to w budce z lodami w zoo.

– Złożyłam wypowiedzenie cztery tygodnie temu. Było za zimno.

– Więc co teraz robisz?

– Pracuję w kawiarni – wyjaśniłam i dodałam: – Fajna robota, mam nieograniczony dostęp do kawy, a od czasu do czasu wpadnie nawet jakieś ciacho.

Ojciec zaśmiał się cierpko.

– To wstyd, co ty wyrabiasz ze swoim życiem. Nie pojmuję, dlaczego...

– Jestem szczęśliwa, tato! Jestem szczęśliwa taka, jaka jestem. Lubię swoje życie. Pogódź się z tym wreszcie i wyluzuj.

Przez kilka sekund wpatrywaliśmy się w siebie bez słowa. W końcu ojciec przejechał dłonią po krótko przystrzyżonych siwych włosach.

– Przepraszam, ja... Przegapiłaś prezentację Ocean Cruisera. Chciałem, żebyś przy tym była, to dla mnie bardzo ważne.

Rozejrzałam się tęsknym wzrokiem za kelnerem z pro-secco, ale jak okiem sięgnąć żadnego nie było.

– Taaaa, przegapiłam nawet fakt, że w ogóle planowaliśmy tę łódź, nie mówiąc o tym, że ją zbudowaliśmy. Dlaczego nikt mi nic nie powiedział?

– A dlaczego mielibyśmy cię informować? Ciebie i tak by to nie obeszło.

Żaden inny człowiek na świecie nie potrafił tak celnie uderzyć w moje najsłabsze punkty. Cofnęłam się o krok i nieco mocniej zacisnęłam rękę na uchwycie torebki.

– Masz rację, nie obeszloby. Tak samo jak prezentacja. No dobra, idę poszukać Christine. Miła impreza. Całkiem odważny krok, żeby urządzić ją pod gołym niebem, ale pogoda prawdopodobnie i tak nie ośmieliłaby się zepsuć, prawda?

Zanim się odwróciłam, zobaczyłam w oczach ojca cień smutku. Lecz już po chwili wyglądał tak samo – surowo i nieprzystępnie jak zawsze. A kiedy ruszyłam na poszukiwania siostry, uznałam, że coś mi się przywidziało.

W końcu wytropiłam kelnera ze sporym zapasem proscoco na tacy. Złapałam za kieliszek, wypięłam duszkiem i od razu sięgnęłam po następny. Co za ulga.

– To tak na początek. Ale gdyby pan zechciał robić przy mnie przystanek za każdym razem, kiedy mnie pan zobaczy, będę wdzięczna. – Posłałam kelnerowi miły uśmiech i z kieliszkiem w ręku ruszyłam na obchód.

W pewnej chwili przy pawilonie piwnym dostrzegłam Christine. Podkrađłam się do niej od tyłu i niespodziewanie objęłam za ramiona.

– Mam cię!

Podskoczyła i obejrzała się gwałtownie. Kiedy mnie rozpoznała, na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Na litość boską, Marie! Nie strasz mnie tak!

Christine odziedziczyła ciemne włosy i niebieskie oczy po naszej matce. Mamę wprawdzie ledwie pamiętałam, bo zmarła na udar wkrótce po moich szóstych urodzinach, ale ze zdjęć wiedziałam, że obie są do siebie bardzo podobne. Dzisiaj jednak Christine miała ciemne kręgi pod oczami i wyglądała na zmęczoną.

– Co z tobą? – zaniepokoiłam się. – Źle spałaś?

Milczała przez chwilę, wpatrując się w swój kieliszek tak intensywnie, jakby chciała przenieść jego zawartość do ust wyłącznie siłą woli. W końcu podniosła na mnie wzrok. Na jej twarzy malowała się powaga.

– Ostatnio trochę dużo się dzieje. – Zrobiła małą pauzę, po czym zapytała: – Mogę z tobą porozmawiać? To znaczy wiesz, tak na spokojnie. Nie tutaj.

Poczułam, że narasta we mnie niepokój.

– Oczywiście. W każdej chwili.



– Jutro wieczorem?

– Jasne. Wprawdzie jestem umówiona na masaż tajski, muszę wykorzystać bon podarunkowy, który dostałam od Hanny, ale może ciebie też zapiszę? Odrobina relaksu i dobroci dla ciała dobrze ci zrobi. A potem pójdziemy się objeść tajskimi specjałami.

– Dobry pomysł. Swoją drogą fajna kiecka – powiedziała moja siostra z uznaniem.

Mile połączana, przejechałam dłonią po tkaninie.

– To Hanny. Tata uznał, że jest nieodpowiednia.

Christine machnęła ręką.

– Nie przejmuj się. On nigdy się nie przyzwyczai, że nie nosisz plisowanych spódnic do połowy łydki i bluzek z riuszkami.

– Ty przecież też nie! – Roześmiałam się.

– Nie, ale ja jestem starsza. Ty, ze swoimi nogami, przynajmniej możesz sobie na to pozwolić. Dlatego nie słuchaj, co mówi tata. Choć mimo wszystko w tej sukience raczej nie powinnaś się pokazywać Florianowi Fechtnerowi. Jeszcze znowu ulegnie słabości...

Serce na chwilę przestało mi bić. Rozejrzałam się wokół gorączkowo.

– Co? On tu jest?

– Tak. I on, i jego ojciec. Lepiej schodź mu z drogi, Marie. Żeby nie doszło do jakichś żenujących incydentów. Dobra, idę się wmieszać w tłum. Aha, wiesz może, gdzie są Toni i Max?

– Ostatnio byli przy ojcu.

– Poszukam ich lepiej. – Christine niespokojnie wodziła wzrokiem po gościach. – Diabli wiedzą, gdzie znów się włóczą te dzieci.

– Pomogę ci. Ty sprawdź na zewnątrz, ja zajrzę do hali.

Ruszyłam przed siebie, gdy nagle w oddali dostrzegłam Fechtnera seniora wraz z Florianem. Schyliłam głowę, nie zwalniając kroku. Miałam nadzieję, że mnie nie zauważyli.

Drzwi do hali produkcyjnej były otwarte; w środku paliło się światło. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy byłam tu ostatni raz, ale wszystko od razu wydało mi się znajome. Chłonołam zapach kleju i drewna, zatrzymując wzrok na maszynach, warsztatowych stołach i jachtach, które znajdowały się w różnych fazach budowy lub remontu.

– Toni? Max? – zawołałam.

Przeszukałam całą halę, zaglądałam za urządzenia i pod stoły, ale nigdzie ich nie było. Już miałam wejść na pokład niewykończonego daysailera, gdy usłyszałam za plecami niski głos:

– Cześć, Marie.

Odwróciłam się. Przede mną, z rękami wbitymi w kieszenie chinosów, stał Florian Fechtner we własnej osobie.

– Florian... Nieźle mnie przestraszyłeś.

– Przepraszam. – Przeczesał dłonią nażelowane blond włosy. – Widziałem cię przed chwilą. Chowasz się tu przede mną?

– Nie, no skąd.

– Muszę z tobą porozmawiać. – Podeszedł kilka kroków i stanął tuż przy mnie. – To w zeszłym roku... to była mocna rzecz, co?

Te dziesięciominutowe macanki? Florian Fechtner wyraźnie nie przeżył jeszcze zbyt wiele w swoim osiemnastoletnim – nie, chwila! – dziewiętnastoletnim życiu.

– Tak, to było... rzeczywiście dość mocne.

– Myślałaś o mnie czasem?

– No wiesz, całkiem szczerze...

– Pewnie masz żal, że się nie odezwałem, ale uwierz mi, kiedy przed chwilą cię zobaczyłem, nagle zdałem sobie sprawę, co do ciebie czuję.

– No tak... Co takiego?

Chwycił mnie za ręce i wyrzucił z siebie:

– Totalnie się w tobie zabijałem! – Jego dłonie były wilgotne, na policzkach rozlał się rumieniec, wzrok mu płonął. Czułam od niego alkohol i stopniowo zdałam sobie sprawę, że owo pałające spojrzenie wynika głównie z faktu, że chłopak wlał w siebie o parę głębszych za dużo. Już miałam parsknąć śmiechem, ale uznałam, że to byłoby podle.

– Posłuchaj, oboje wiemy, że nic z tego nie będzie. Nie jesteśmy... ehm, dla siebie stworzeni. Ja jestem sporo starsza i...

– To nie gra dla mnie żadnej roli! – zawołał żarliwie. – Choćbyś miała i pięćdziesiąt lat, nie obchodzi mnie, co mówią ludzie!

To musiałam mu przyznać na plus. Mnie też z reguły to nie obchodziło.

– Ale to nie jedyna rzecz, która nas dzieli. Nasze rodziny... nie rozumiesz, nasz związek po prostu nie ma racji bytu! – wykrzyknęłam dramatycznie, świadoma, że popadam w retorykę rodem z kiczowatych romansidel Barbary Cartland, które jako nastolatka znalazłam w skrzyni matki i w których się zaczytywałam.

– Dlaczego?

– Pochodzisz z bardzo bogatej rodziny, a my jesteśmy prostymi skutnikami. Pewnego dnia znajdziesz odpowiednią

kobietę. Kobietę z dobrego domu. – Powoli ta gra zaczynała mi sprawiać prawdziwą frajdę. Tak bardzo się wczułam w rolę, że do oczu napłynęły mi łzy.

– Ale przecież ty pochodzisz z dobrego domu – zauważył Florian, lekko zbaraniały. – W końcu twoja rodzina ma stocznię.

Nie ułatwiasz sprawy, chłopaku.

– No tak, ale niedużą. A ja naprawdę nie jestem dobrą partią, Florianie. Christine dziedziczy wszystko. – Ze smutkiem wbiłam spojrzenie w podłogę. – Ja nie dostanę złamanego grosza.

Zrzędała mu mina.

– Ach tak...

Albo nie był bardzo lotny, albo był zbyt pijany, by zauważyć, że odgrywam fabułę brazylijskiej telenoweli.

– Zaskarż to do sądu – poradził mi całkiem pragmatycznie.

– Nie! – wykrzyknęłam, chwytając się za serce. – Mój ojciec jest chorym człowiekiem! To by go zabiło! Uwierz mi, Florianie, lepiej będzie, jak o mnie zapomnisz.

– Hm. – Przez chwilę wpatrywał się w czubki swoich butów. – Okay, chyba masz rację – powiedział w końcu. – Ale cholernie chciałbym cię pocałować ostatni raz. Mogę?

– No, właściwie... – Chciałam powiedzieć „nie”. Wiedziałam, że powinnam powiedzieć „nie”. Właściwą odpowiedzią było „nie”. – A niech tam. Czemu nie.

Przyciągnął mnie do siebie i namiętnie przycisnął usta do moich. Nie całował zbyt dobrze, ale to wcale nie przeszkadzało biednej córce szkutnika, która musiała się pożegnać ze swoim ukochanym raz na zawsze. A poza tym lubiłam się całować.

Wtedy rozległ się głos:

– Nie wierzę!

Florian odskoczył ode mnie pośpiesznie. Za jego ramieniem zobaczyłam Daniela Behneckego. Akurat jego! Wpatrywał się we mnie wstrząśnięty.

– Po tym wszystkim, co się wydarzyło rok temu? Chyba nie jesteście poważni!

Florian, oblany pąsem, bez słowa wyszedł z hali.

– Adieu, Florianie... – Odprowadziłam go wzrokiem z udawaną rozpaczą.

Daniel Behnecke tymczasem kręcił głową.

– Czy wszystkie błędy zawsze popełnia pani dwa razy?

– Co najmniej – zapewniłam. Staralam się zachować niewzruszoną minę, choć jego wzgardliwy sposób bycia doprowadzał mnie do szału.

– Czemu mnie to nie dziwi? A tak w ogóle to czego pani szukała w hali?

– Siostrzenicy i siostrzeńca. Zniknęli. Myślałam, że zaszli się tutaj. A teraz przepraszam, ale muszę wrócić do swoich obowiązków.

Ruszyłam w kierunku wyjścia, ale Behnecke dogonił mnie w kilku krokach.

– Co pani powie. Chyba po raz pierwszy w życiu dopełniłaby pani swych obowiązków.

Korciło mnie, żeby go pchnąć i przewrócić, zamiast tego jednak szłam dalej lekkim krokiem.

– Nie uważa pan, że powinien być nieco miłszy dla córki szefa? Noszę nazwisko Ahrens, a czy zazwyczaj nie odczuwa pan potrzeby płaszczenia się przed Ahrensami?

– Owszem, naturalnie, przez cały dzień nie robię nic innego. I naprawdę ogromnie się staram być dla pani miły, choć przychodzi mi to z wielkim trudem. Nie mam najlepszego zdania o trzydziestoletnich kobietach zachowujących się jak nastolatki. – Otworzył mi drzwi i gestem dał do zrozumienia, żebym poszła przodem. – Miłego wieczoru. I do zobaczenia za rok.

Na moment oniemiałam.

– Wow! Rozkręcił się pan dzisiaj, co? Tak na marginesie: nie mam jeszcze trzydziestki. I całe szczęście, inaczej pana słowa ubodłyby mnie do żywego. Fatalnego wieczoru życzę. I do niezobaczenia.

Wymieniliśmy pełne niechęci spojrzenia, a potem minęłam go szybkim krokiem.

Nabuzowana wpadłam do pawilonu, żeby zorganizować sobie duże piwo, i napatoczyłam się na Christine, Maksa i Toni.

– Hej, gagatki – zawołałam do dzieciaków, które właśnie wciągały colę, pewnie dwunastą tego dnia. – Gdzie się podziwialiście?

– Bawiliśmy się za sceną w chowanego z innymi dziećmi – wyjaśnił Max.

– A ty gdzie byłaś, Marie? – dopytywała Christine.

Pociągnęłam spory łyk piwa.

– No przecież w hali. Szukałam tej dwójki urwisów.

– Musiałaś naprawdę gruntownie szukać. Ale, ale! Czy to nie w hali produkcyjnej zniknął też Florian Fechtner?

– Owszem, pomagał mi. – Uciekłam wzrokiem w bok.

– Hej, patrz, tam jest Daniel! – zawołała Toni, szturchając brata z takim entuzjazmem, że ten aż rozlał colę. – Chodź, zapytamy go, czy pokaże nam jeszcze raz nową łódź.

Christine westchnęła.

– Dajcie spokój, bo biedak...

Zanim jednak dokończyła, dzieci już nie było.

– Ten *biedak* wyjątkowo działa mi dziś na nerwy – poskarżyłam się. – Nie rozumiem, co wszyscy w nim widzą.

– A ja nigdy nie rozumiałam, jaki macie ze sobą problem – zripostowała moja siostra. – Po prostu ma zły dzień. Niedawno rzuciła go dziewczyna, dziś odebrała swoje rzeczy z ich mieszkania.

Omam nie zakrztusiłam się piwem.

– Co?! Przecież byli ze sobą tacy szczęśliwi! No aż do porzygania. – Zaszczębiałam słodko: – Kocham cię, skarbu. – Po czym dodałam grubym głosem: – Ale ja kocham cię bardziej. Nie, ja ciebie bardziej. Nie, ja cie...

– Przestań! – przerwała mi Christine ze śmiechem. – Wcale tacy nie byli.

– Mam pewne wątpliwości. W każdym razie to nie moja wina, że go rzuciła.

– Mogę tylko powtórzyć: nie mam pojęcia, dlaczego zawsze się ze sobą ścinacie. Ale mniejsza o to, prawdopodobnie i tak zobaczycie się znowu dopiero za rok. Powiedz lepiej, co robiłaś z Florianem w hali produkcyjnej.

Chrząknęłam.

– Wyznał mi miłość.

Christine wybałuszyła oczy.

– Nie wierzę!

– Serio. Przypuszczam, że zapalał nowym afektem na skutek wlanym w siebie dwudziestu głębszych, co najmniej.

W każdym razie odrzuciłam jego amory w iście filmowym stylu. Wiedziałaś, że jestem całkiem dobrą aktorką?

– Ty? – zachichotała. – Bo ja wiem... Twoja rola Maryi w jasełkach należała do najgorszych, jakie w życiu widziałam.

– Ja uważam, że byłam świetna.

– Nieważne. Jak biedak zareagował na twojego oscarowego kosza?

Dla zwiększenia napięcia spokojnie wzięłam łyk piwa i zapaliłam papierosa.

– Poprosił o pożegnalny pocałunek.

– Ale ty chyba nie...?

Wzruszyłam ramionami.

– A jednak! – wykrzyknęła Christine i zaniósła się śmiechem. – Nie do wiary. – Objęła mnie i mocno przytuliła. – Ach, Marie, ty moja wariatko – rzuciła pieśczośliwie. – Jak dobrze cię widzieć.

Kompletnie zaskoczona odwzajemniłam uścisk. Zazwyczaj siostra nie była zbyt wylewna, zwłaszcza przy obcych. To u nas rodzinne. Nie rozmawialiśmy o uczuciach, jeśli tylko mogliśmy tego uniknąć, a już w żadnym razie ich nie okazywaliśmy. Jeśli chodzi o ojca, niekiedy miałam wątpliwości, czy w ogóle ma jakieś uczucia. Pewnie po prostu się ich wyżył po śmierci mamy.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Christine. Następnym razem nie będziemy czekać aż sześciu tygodni do następnego spotkania, dobrze?

Uwolniła się z moich objęć i uniosła brew.

– Jesteśmy umówione na jutrzejszy wieczór, zapomniałaś już?



– Ehm... Nie... Po prostu chciałam, żeby to zostało powiedziane.

– Mmm, jasne. Dobra, muszę lecieć. – Wyprostowała się i zadarła podbródek. – Na razie.

Przez resztę wieczoru naprawdę wywiązywałam się ze swoich obowiązków. Prowadziłam pogawędki o niczym, tańczyłam z kontrahentami ojca, tu wypiliśmy prosecco, tam wódkę – generalnie rozsiewałam wokół swój urok najlepiej, jak potrafiłam. Później dołączyłam do ojca, który w międzyczasie uspokoił się i zrobił w miarę przystępny. Florian Fechtner na szczęście nie pojawił się nigdzie na horyzoncie, a Daniel Behnecke unikał mnie tak samo starannie jak ja jego, przez co festyn okazał się całkiem udaną imprezą.

Christine pożegnała się około dziesiątej – musiała położyć dzieci spać – a i ja skorzystałam z okazji, by się ulotnić.

– Do widzenia, tato. – Objęłam ojca i przycisnęłam do siebie na krótką chwilę. – Powodzenia. I uważaj na siebie, dobrze?

– Tak, tak. Do zobaczenia. Czyli prawdopodobnie do świąt Bożego Narodzenia – odparł i odwzajemnił uścisk. – Tylko przyjdź punktualnie.

Na promie do Landungsbrücken stanęłam przy burcie i wystawiłam twarz do wiatru, patrząc na światła portu. Im bliżej miasta byłam, im bardziej oddalałam się od stoczni, tym lżej mi było na sercu.

Hannę spotkałam w Saal II, naszej ulubionej knajpie w dzielnicy Schanzenviertel, która była dla nas czymś w rodzaju drugiego domu. Siedziała z naszymi przyjaciółmi, Hectorem i Ebru, przy stoliku na tyłach sali i sączyła gin z tonikiem.

– Marie, słońce ty moje! – zawołał Hector na mój widok. Poderwał się z krzesła i cmoknął powietrze tuż przy moich policzkach.

Był mniejszy ode mnie o głowę, miał kruczoczarne włosy i najpiękniejsze brązowe oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Pracował razem z Hanną, projektując dla tej samej firmy, i twierdził, że jest rodowitym Hiszpanem. Hanna zajrzała jednak kiedyś do jego paszportu, z którego wynikało, że tak naprawdę jest Albańczykiem i wcale nie nazywa się Hector, tylko Basim. Krótco mówiąc, Hector to pic na wodę, fotomontaż, ale i tak go uwielbiałam. Jeśli chciało się potańczyć, napić piwa, pójść na imprezę albo zrobić to wszystko jednocześnie, można było zadzwonić do niego o każdej porze dnia i nocy. Nigdy nie odmawiał.

Zaraz po nim przywitała mnie Ebru. Była modelką i choć wzrostem oraz urodą onieśmiała większość ludzi, polubiłam ją od pierwszej chwili. W przeciwieństwie do wylewnego Hectora miała raczej szorstkie usposobienie.

– I jak, przeżyłaś? – zapytała, wciskając mi do ręki gin z tonikiem.

– Było bardzo źle? – Hanna współczująco spoglądała na mnie swymi wielkimi zielonymi oczami.

– Mogło być gorzej.

Usiadłam obok niej i łyknęłam drinka. Podwędziłam Hannie papierosa i wetknęłam sobie do ust.

– A twój zeszłoroczny skandal? – zagaił Hector, nie odrywając ode mnie wzroku. – Ten młody człowiek, którego uwiodłaś? Był?

– Nie uwiodłam go i owszem, był. Tym razem również go nie uwiodłam. Tylko przez chwilę się obściskiwaliśmy.

Ebru roześmiała się i nadstawiła pięść, żeby przybić mi żółwika.

Hanna tymczasem z dezaprobatą ściągnęła usta.

– Po co znów się z nim obściskujesz? Twój ojciec już rok temu był wściekły z tego powodu.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie mam pojęcia, tak jakoś wyszło. Zresztą zaraz zostaliśmy nakryci.

Przypomniało mi się chłodne spojrzenie Daniela Behnecznego i wszystkie te okropne rzeczy, które mi wygarnął.

Hector podniósł ręce w teatralnym geście.

– Mój Boże! Wspaniale, Marie! Z tobą jest ciekawiej niż w kinie!

Zaciągnęłam się i wydmuchałam dym w stęchłe powietrze knajpy.

– Uważacie, że zachowuję się jak nastolatka?

Hector nachylił się i położył mi rękę na ramieniu.

– Bzdura, wcale nie zachowujesz się jak nastolatka. Jesteś dojrzałą osobą. Jesteś cudownie wolna i radosna, a poza tym masz wycucie tego, co naprawdę ważne: joie de vivre.

– Że co? – bąknęłam zbita z tropu.

– Radość życia, głupiutka gąsko – odpowiedział, uśmiechając się wyrozumiale.

– Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy, Marie? – zapytała Hanna.

Energicznie zgasiałam papierosa w popielniczce.

– Ach, sama nie wiem. Prawdopodobnie po prostu za dużo dziś się na mnie zważyło.

Hector poszedł do baru, by po chwili wrócić z czterema tequilami.

- No to pijemy. A potem idziemy potańczyć. Joie de vivre!
  - Joie de vivre! – powtórzyłyśmy z Ebru i Hanną.
- Wiedziałam, że to nie ostatnia tequila tego wieczoru.



# Dobrze jest dopiero po

Niedzielę spędziłam z Hanną w jej łóżku, gdzie oglądałyśmy na DWV *Sęks w wielkim mieście* i obzerałyśmy się chip-sami. Ponieważ do siódmej rano krążyłyśmy po klubach, dziś w programie było leczenie kaca.

– A tak w ogóle to co wczoraj było z Samem? – zapytała prosto z mostu, kiedy Mr Big zakomunikował Carrie, że zamierza wyjechać do Paryża. – Wyglądał na niezłe poruszonego, twierdził, że nagle zaczęłaś się zachowywać jak przylepa.

Przewróciłam oczami.

– Chyba ma jakieś omamy. Zapytałam go tylko, czy pójdzie ze mną na festyn. Dwie sekundy później dotarło do mnie, że poradzę sobie sama. Jak ze wszystkim.

Hanna z namysłem przyglądała się zrozpaczonej Carrie na ekranie.

– Nie chciałabyś mieć kogoś, kto zawsze by cię wspierał?

– Kogoś, kto zwieje do Paryża? Nie, dzięki.

– Ale przecież nie musi tak być. Wszystko może się dobrze ułożyć.

– Jasne – rzuciłam wzgardliwie i wepchnęłam do ust garść chipsów. – Tobie też jak do tej pory świetnie się układało.

– Jesteś podła.

Hanna wyrwała mi z ręki foliową torebkę. Odwróciłam głowę i bacznie przyjrzałam się przyjaciółce. Chociaż bardzo się starała zachować obojętną minę, jej oczy zdradzały, że ją zraniłam.

– Hej, przepraszam. To było głupie – powiedziałam i pokazałam na Carrie i Mr Biga. – Ale popatrz na nich. Czy są szczęśliwi? Chcesz czegoś takiego?

– Nie – westchnęła.

– No właśnie. Ja też nie.

Przytuliliśmy się do siebie mocniej, pochłaniając chipsy i kolejne odcinki serialu.

Kiedy po jakimś czasie zaczęło mi burczeć w brzuchu, Hanna rzuciła:

– Może zamówimy coś do jedzenia?

– Jasne. Tajskie?

Tajskie... Zaraz... coś mi zaświtało...

– Jasna cholera! – Zerwałam się z łóżka. – Która godzina? Która jest godzina?!

– Za piętnaście siódma – odparła Hanna ze zdziwieniem. – Czemu?

– O siódmej mam być na masażu tajskim! Umówiłam się z Christine. Ach, szlag by to... miałam zaklepać dla niej termin.

Popędziłam do łazienki, w rekordowym tempie wzięłam prysznic, ubrałam się i zaczęłam rozpaczliwie szukać torebki.

W końcu znalazłam ją na szafce w kuchni – czemu, u diabła, położyłam ją właśnie tam? – rzuciłam Hannie pośpieszne „cześć” i pognałam do Siam Orchid Massage Center.

Christine czekała przed wejściem. Z przyganą spojrzała na zegarek.

– Znowu się spóźniłaś.

– Ale tylko kwadrans – wysapałam. – To się nie liczy. Kwadrans akademicki.

– Kwadrans akademicki, jasne. Umówiłaś mnie?

– Tak, tak. Znaczy... naprawdę miałam taki zamiar...

– Ale zapomniałaś – stwierdziła Christine tak trzeźwym tonem, jakby nie spodziewała się niczego innego.

– Dobra, zapomniałam. Ale to na pewno nie jest żaden problem, jestem przekonana, że można przyjść bez rezerwacji. A jakby co, to wejdiesz za mnie.

– No mam nadzieję! Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo zasłużyłam sobie na ten pieprzony masaż.

Ups, Christine nigdy nie przeklinała. W przeciwieństwie do mnie zawsze mówiła i robiła to, co należy. Patrzyłam na nią uważnie. Była niepomalowana, niewyspana i wyraźnie wycieńczona. Naprawdę potrzebowała relaksu.

– Marie, może przestaniesz się na mnie gapić i wreszcie wejdziemy do środka?

Przywitały nas przytłumione światło i cicha azjatycka muzyka medytacyjna. Pachniało egzotycznymi olejkami i od razu ogarnął mnie błogi nastrój. Podeszłam do kontuaru, gdzie opromieniła mnie uśmiechem prześliczna drobna Tajka.

– *Sawadee kaaa* – powiedziała przeciągle i skłoniła się ze złożonymi dłońmi. – Jestem Mae.

Razem z Christine powtórzyłyśmy jej gest.

– Dzień dobry. Jestem Marie Ahrens, byłam umówiona. Właściwie to miałam być dwadzieścia minut temu, ale mam nadzieję, że to nie problem?

Mae uśmiechnęła się dobrotliwie.

– Nie, nie, to nie problem. – Po czym zwróciła się do mojej siostry: – Pani? Była umówiona też?

– Nie, właściwie to ja miałam uzgodnić dla niej termin, ale wypadło mi coś ważnego – pośpieszyłam z wyjaśnieniami, ignorując parsknięcie Christine. – Macie jeszcze coś wolnego?

– Tak, tak – odparła czarująca Mae. – Nie ma problemu. Proszę za mną.

Kiedy wyszła zza kontuaru, zauważyłam, że ma na sobie długą spódnicę i bluzkę z przepięknych, kolorowych materiałów. Poprowadziła nas do przytulnego, egzotycznego pomieszczenia ze ścianami wyłożonymi bambusowymi matami. Nie było w nim mebli, nie licząc dwóch cienkich materacy na podłodze.

– Proszę za mną – powtórzyła Mae i pokazała dwie przebiegalnie. – Tam rozebrać do majtek, włożyć ubranie, wyjść.

Wymieniłyśmy z Christine spojrzenia.

– Jakie ubranie włożyć? – zapytała moja siostra, wyraźnie zdezorientowana.

– Ubranie – powtórzyła Mae, uparcie pokazując na przebiegalnię. – Rozebrać, włożyć ubranie, wyjść, nie ma problemu.

– To pewnie zaraz samo się wyjaśni – szepnęłam i weszłam do swojej kabiny.

Rzeczywiście, w środku znalazłam luźne spodnie i coś w rodzaju operacyjnego kitla z miękkiego materiału.



Kiedy wyszłam z przebieralni, dołączyła do nas kolejna drobniutka osobka. Christine też była już przebrana.

– To jest Tida – oznajmiła Mae, przedstawiając nam swoją koleżankę.

Wymieniłyśmy uśmiechy i ukłony, a potem Tida wskazała ręką materace i poleciła:

– Położyć.

– Na plecach czy na brzuchu? – Christine jak zwykle chciała wszystko zrobić, jak należy.

– Położyć – powtórzyła Tida. – Tu, położyć.

Posłusznie podreptałyśmy w stronę materacy, a ja pomyślałam o tym, że stanowczy ton Tidy i Mae klócił się z ich delikatną powierzchownością i przyjaznymi uśmiechami.

– Przecież to wszystko jedno, jak się położymy – zwróciłam się do siostry.

Położyłyśmy się na wznak, ale Tida i Mae, które uklęknęły obok nas, szturchnięciem dały nam znać, że mamy się przekręcić na brzuch.

– Widzisz – syknęła Christine. – Źle zrobiliśmy.

– No i co z tego? – odpowiedziałam szeptem. – To nie na ocenę, odpręż się.

Christine westchnęła głośno i zamknęła oczy.

– Masz rację. Koniecznie muszę się odprężyć.

Ja też zamknęłam oczy, czekając, aż klęcząca przy mnie Tida przeniesie mnie do krainy nirwanicznego relaksu. Lecz tego, co miało nastąpić, nie spodziewałam się w najśmielszych marzeniach. Już po pierwszych sekundach uświadomiłam sobie jedno: masaż tajski, a przynajmniej ten wariant, który praktykowała Tida, to nie jest rzecz dla mięczaków. To nie

słodkie szczeniaczki, które liżą cię różowymi języczkami. To! Bolało! Tida mnie ugniatała, szczypała i uderzała, stąpała po mnie, szarpała i dręczyła na różne wymyślne sposoby. Nie miałam pojęcia, skąd w takiej wiotkiej osobce tyle brutalnej siły. W mojej głowie pędziły myśli: Czemu się na mnie wyżywasz, przecież nic ci nie zrobiłam!; Tak, przyznaję się do wszystkiego, co tylko chcesz; Przestań natychmiast, bo ci oddam! Mimo to trzymałam język na wodzy, bo: a) Tida była ode mnie silniejsza, więc i tak nie odważyłabym się jej uderzyć; b) nie chciałam wyjść na wydelikacaną księżniczkę, która nie potrafi wytrzymać masażu tajskiego; c) Christine, masowana w ten sam sposób, zdawała się pławić w rozkoszy.

W końcu Tida zwróciła się do mnie:

– Wszystko okay, nie ma problemu?

– Trochę boli, prawdę mówiąc... – stęknęłam słabo.

Uśmiechnęła się łagodnie.

– Masaż tajski musi boleć. Dobrze jest dopiero po.

– Aha – zakwiliłam, a po chwili poczułam tak niewiarygodnie silny ucisk jej kciuka na podeszwę mojej stopy, że zaczęłam się obawiać, iż przebiję ją na wylot.

– Christine? – Zerknęłam na sąsiednią matę; moja siostra leżała na brzuchu, a Mae siedziała na jej udach. – Jak się czujesz?

– Beznadziejnie – jęknęła Christine, kiedy Mae podciągnęła jej tułów za ręce, aż plecy wygięły się pod kątem bez mała dziewięćdziesięciu stopni względem tyłka.

– Trochę boli, co?

– Nie. Wiesz, że uprawiam jogę.

Chwalipięta.

Tida tymczasem chyba skończyła, bo gestem kazała mi się podnieść. Z ulgi o mało się nie popłakałam, dziękując niebiosom, że uszłam z życiem – nie licząc złamanego żebra czy dwóch. Tida jednak stanęła za mną, a mnie ogarnęło złe przeżycie.

– Wczoraj chciałaś wiedzieć, co się ze mną dzieje i czemu jestem taka błada – zagała Christine.

– Tak. Wyglądasz na chorą – odparłam.

Tida skrzyżowała ramiona za moim karkiem i chwyciła pod pachy.

– Bo jestem – powiedziała Christine. – Mam raka.

W tym momencie dwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie: serce na moment przestało mi bić, a Tida wyprostowała mi plecy tak, że towarzyszący temu trzask dał się słyszeć pewnie aż w Bangkoku.

– Coooo?! – ryknęłam z bólu i przerażenia.

Mae i Tida, usłyszawszy nowinę, którą zakomunikowała mi Christine, odsunęły się z przestraszeniem.

– Jest gotowe, teraz ubrać, nie ma problemu – powiedziała łagodnie Mae. Jej uśmiech zniknął, a oczy o kształcie migdałów spoglądały z troską, kiedy pogłaskała Christine po ramieniu. Potem obie Tajki się ukloniły i dyskretnie oddaliły.

Jak skamieniała gapiłam się na siostrę.

– Co... Nie rozumiem... Jak... – Nie potrafiłam wydobyć z siebie składnego zdania.

Christine intensywnie przyglądała się swoim paznokciom.

– No, tak to wygląda. Mam raka piersi.

Rak piersi. Ile razy o tym słyszałam, czytałam, widziałam plakaty i myślałam sobie: Cholera, to dopiero jest kanał.

Celebrytki miały raka piersi, nieznanne mi kobiety miały raka piersi, koleżanki znajomych siostr miały raka piersi. Ale nigdy nie dotyczyło to mnie samej ani nikogo z bliższego otoczenia. Nie mówiąc już o własnej siostrze. Christine, która prowadziła zdrowy styl życia jak nikt inny, która zawsze wszystko miała pod kontrolą. Okay, jej małżeństwo się rozpadło, ale poza tym wszystko szło zgodnie z planem. Zawsze była dla mnie bohaterką. Superwoman. To musiał być jakiś zły sen, z którego zaraz się obudzę. Albo po prostu postawiono złą diagnozę. Ciągle przecież się słyszy takie rzeczy.

Christine podniosła na mnie wzrok. W jej oczach błyszczały łzy. Po zaciśniętych szczękach i ciężkim oddechu poznałam, ile ją kosztuje, by nie płakać.

W końcu coś się we mnie ożywiło.

– Rany, Christine... – Podczołgałam się do niej, objęłam ją i przycisnęłam tak mocno, że bałam się, że ją zgniotę.

Początkowo siedziała sztywno, ale w końcu napięcie z niej uszło; przywarła do mojego ramienia i się rozplakała.

Trzymając w objęciach swoją starszą siostrę, uświadomiłam sobie, że to może jednak nie być zły sen. A jeśli to nie była błędna diagnoza? Jeśli Christine naprawdę miała raka? Nagle poczułam się tak, jakby ktoś wyrwał mi z piersi serce. Mimo to nie potrafiłam płakać. Nie miałam w sobie łez.

– Ja pierdolę – wyszeptalam tylko. Wbrew najlepszym chęciom nie przychodziło mi do głowy nic innego, żadne mądre ani krzepiące słowa, żadne życiowe sentencje ani słowa otuchy. Jedyne, co mogłam powiedzieć, to: – Ja pierdolę. Kurwa, ja pier...

– Przestań przeklinać – zganila mnie Christine drżącym głosem. – Czasami naprawdę wyrażasz się, jakbyś wyszła

z rynsztoka. – Oderwała się ode mnie, starła z policzków łzy i parę razy pociągnęła nosem.

– Sorry, ale „do licha” to dla mnie w tej sytuacji trochę za mało. Przyniosę ci chusteczkę.

Poderwałam się, żeby pójść do przebieralni. Po torturach Tidy wszystko mnie bolało. Ale wołałabym być maltretowana masażem przez dziesięć tysięcy godzin, niż zmierzyć się z potworną rzeczywistością. To bolało nieskończenie bardziej.

– Chyba lepiej będzie, jak stąd wyjdziemy, co? – rzuciła Christine, wstając z podłogi. – Nie możemy godzinami blokować tego pomieszczenia.

– Tak, spadajmy. Gdzieś, gdzie będziemy mogli w spokoju pogadać.

Dziesięć minut później wysłyszmy prosto w wesoły gwar Schanzenviertel. Był ciepły, wiosenny wieczór. Ludzie siedzieli w ogródkach knajpek i restauracji, popijali zimne drinki, jedli, gawędzili, śmiali się. Miałam wrażenie, że wylądowałam na innej planecie.

– Idziemy do mnie? – zaproponowałam.

– Nie, wołałabym zostać tutaj – odparła moja siostra. – Wśród ludzi. Nie chcę, żeby emocje wzięły górę.

To też było typowe. W naszej rodzinie ogromną wagę przywiązywano do tego, by nie dramatyzować. Nigdy.

– Skoro tak wolisz.

Jakimś cudem udało się nam zdobyć stół w knajpce przy Schulterblatt. Miałam ochotę na potrójną wódkę, ale nie chciałam być nietaktowna, więc tak jak Christine zamówiłam lemoniadę. Jakaś częśćka mnie nadal wzbraniała się przed uwierzeniem w to, co powiedziała mi siostra. Do gło-

wy przychodziły mi tysiące pytań. Kiedy kelnerka postawiła przed nami napoje, nie mogłam wytrzymać i wywaliliam prosto z mostu:

– Od kiedy wiesz? Czy to w ogóle pewne? Czy muszą najpierw porobić badania?

Christine upiła łyk lemoniady.

– Pewne jak amen w pacierzu. Parę tygodni temu wymacałam sobie guzek w piersi. Trzeba się samej regularnie badać, mam nadzieję, że ty też to robisz. – Popatrzyła na mnie surowo, jednak nie czekała na odpowiedź. – Oczywiście od razu poszłam do swojej ginekolożki. Zrobili mi biopsję i dziesięć tysięcy innych badań. No i wyszło, że mam raka.

Oparłam głowę na dłoni, bo nagle wydała mi się strasznie ciężka.

– Więc wiesz już od kilku tygodni i nic nie powiedziałaś?

– Nie chciałam tym nikogo obciążać, póki nie miałam pewności. – Christine chrząknęła. – W każdym razie ten typ raka jest podobno dość agresywny, guzy są już spore.

Najchętniej zatkałabym sobie uszy, tak okropnie brzmiały dla mnie jej słowa. Ale ona bezlitośnie ciągnęła:

– Najpierw poddam się chemioterapii, żeby potem można było zoperować i w miarę możliwości zachować pierś. Po operacji będę miała jeszcze naświetlania.

– Ale... – Bezradnie szukałam właściwych słów. Czulałam się przy tym niewiarygodnie głupia i gruboskórna. – A zasięgnęłaś opinii innego lekarza? Drugiego, trzeciego? Może to wszystko jest pomyłką? No i co mówią lekarze... znaczy czy to się da wyleczyć?

– To nie pomyłka, Marie – powiedziała spokojnie Christine. – I nie potrzebuję kolejnych opinii. A jeśli chodzi o rokowania, to oczywiście googlowałam, ale wyskakuje mi tyle różnych informacji, że to tylko pogłębia moją niepewność. Nie zrobię tego nigdy więcej, na pewno. Postanowiłam zaufać lekarzom. Jedno jest jasne: to rak.

– Tak mi przykro... – wydusiłam. – Tak mi przykro, że musisz przechodzić przez to wszystko.

– Niepotrzebnie – odparła ostro Christine. – Poradzę sobie. Nie zamierzam iść do piachu.

Chwyciłam ją za rękę i poczułam, jak łzy napływają mi do oczu.

– Po prostu nie wiem, co powiedzieć – wyszeptalam.

Christine mocno splotła swoje palce z moimi.

– Marie, proszę cię, nie płacz. Ty nigdy nie płaczesz, więc nie zaczynaj teraz.

– Ale kiedy moja duża siostra mówi mi coś takiego, to chyba mam prawo wyimięknąć. – Pociągnęłam nosem.

– Kiedy będziesz sama, możesz sobie płakać, ile tylko chcesz, ale proszę, proszę cię, nie w mojej obecności – oznajmiła dobitnie Christine. Patrzyła przy tym z taką desperacją, że najchętniej rozbeczałabym się jak dziecko. – Potrzebuję wesołej, zwariowanej Marie, która nakłania mnie do śmiechu i jest święcie przekonana, że wszystko będzie dobrze. Okay?

Zacisnęłam zęby i wzięłam kilka oddechów. Musiałam przełknąć grudę, która urosła mi w gardle.

– Tak, oczywiście. Przepraszam, po prostu to wszystko...

– Wiem. – Christine skinęła głową. – Doskonale wiem, co masz na myśli.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, trzymając się za ręce, podczas gdy wokół nas ludzie rozmawiali ze sobą i wybuchali śmiechem.

– Mogę coś dla ciebie zrobić? – zapytałam w końcu. – Czy mogę ci jakoś pomóc?

Moja siostra odchyliła się do tyłu i sięgnęła po szklankę.

– Rzeczywiście jest coś, co mogłabyś dla mnie zrobić. Ale to duża rzecz.

– Wszystko jedno. Powiedz co, a to zrobię.

Wzięła łyk lemoniady, a potem powiedziała:

– W przyszłą środę zaczyna się chemia.

– Musisz iść do szpitala? I ile to potrwa?

– Będę na oddziale dziennym. Pojadę taksówką, dostanę kroplówkę, a potem wrócę do domu. Leczenie ma mieć dwie fazy i obejmować dwa różne leki. W pierwszej fazie muszę jeździć do szpitala raz w tygodniu. W drugiej fazie co dwa tygodnie. Każda faza to cztery wizyty w szpitalu. Nie mam zamiaru się ze sobą pieścić, a z tego, co się dowiedziałam, sporo kobiet znosi chemię całkiem dobrze. Chciałabym należeć do tej grupy. Ale nie wiem, jak będę to wszystko znosić, więc byłoby fajnie... – Zrobiła krótką przerwę. – Byłoby fajnie, gdybyś w tym czasie mogła się do mnie wprowadzić. Ze względu na Toni i Maksa. Byłabym ci naprawdę wdzięczna, gdybyś mogła mi pomóc przy dzieciakach.

Siedziałam bez ruchu, wpatrując się w nią.

– Bez obaw, nie będzie aż tak źle – pośpieszyła z zapewnieniem. – Po szkole dzieci do czwartej są w świetlicy, potem odbiera je niania, która siedzi z nimi do szóstej. Prawdopodobnie w ogóle nie będziesz miała nic do roboty. Ale byłabym spokojniejsza, gdybyś po prostu była – dodała cicho.



Wreszcie udało mi się wyrwać z odrętwienia.

– Ależ oczywiście! Naturalnie przeniosę się do ciebie i pomogę przy dzieciach. Ale czy jesteś pewna, że jestem właściwą osobą? Obie wiemy, że bycie odpowiedzialną wychodzi mi tak średnio, a o dzieciach nie mam zielonego pojęcia.

– Nie musisz mieć – zapewniła mnie. – Uwierz mi, to całkiem proste. Max i Toni są łatwi w obsłudze. No i uwielbiają cię ponad wszystko. Dasz sobie radę.

– Okay. Jasne, możesz na mnie liczyć.

Christine odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Dziękuję ci bardzo, Marie.

– Nie ma za co. To przecież się rozumie samo przez się. Mimo wszystko ciekawi mnie, dlaczego akurat ja. Co z Robertem? Czy ojciec nie nadawałby się najlepiej, żeby zająć się dziećmi?

– A niby jak? Robert dopiero co się wyprowadził do Frankfurtu. A nie chcę, żeby dzieci się tam przenosiły.

– A co z naszym tatą? Co on na to?

Christine uciekła spojrzeniem.

– Jeszcze o niczym nie wie. Jutro ma wpaść do firmy, wtedy mu powiem.

– Mimo to idziesz do firmy? – zapytałam przerażona.

– No przecież muszę.

– Teraz musisz tylko jedno: wyzdrowieć! Poza tym czy naprawdę uważasz, że firma to właściwe miejsce, żeby oznajmić ojcu takie wieści?

– A jest na to jakiegokolwiek „właściwe właściwe”? – zawołała ze złością. – Myślisz, że ktoś mnie pytał, czy to właściwy moment na raka? Bo tak się składa, że teraz w ogóle mi to nie

pasuje! – Rozejrzała się speszona i ciągnęła już ciszej: – Wiem, że ojca to dotknie. Ale nie chcę, żeby opuszczał Sylt i zajmował się mną i dziećmi. Kiedy sobie pomyślę, jaki był po śmierci mamy... Wiem, że dał z siebie wszystko, ale i tak nie sądzę, żeby był właściwą osobą w takiej sytuacji. Poza tym sama czułabym się jeszcze gorzej, gdybym musiała się przyglądać, jak on cierpi i próbuje to ukryć.

– A myślisz, że dla mnie to nie problem?

– Ależ skąd! Ale ty jesteś silna, poradzisz sobie. Pamiętasz, kiedy jako sześciolatka sprząś Marca Drehera, bo zadart mi spódnicę na oczach wszystkich? Miał trzynaście lat, był mniej więcej dwa razy większy i cięższy od ciebie, ale ty się tym nie przejmowałaś. Przykro mi, że cię w to wciągają, Marie, ale jesteś jedyną osobą, którą chcę przy sobie mieć w tej porabanej sytuacji.

Mgłiście przypomniałam sobie tamto wydarzenie. Walka nigdy nie została doprowadzona do końca zgodnie z zasadami gry, bo ojciec siłą oderwał mnie od Marco, kiedy wgryzłam się zębami w jego przedramię. Marca Dreher i ja wciąż mieliśmy niewyrównane rachunki.

– Będę cię wspierać, a jeśli zechcesz, spuszczę łomot każdemu lekarzowi i pielęgniарce, który ci się narazi – zapewniłam siostrę z uśmiechem, choć w środku wszystko mnie bolało.

Christine odwzajemniła uśmiech, ale widać było, że przyszło jej to z równie wielkim trudem.

– Dziękuję, Marie. Więc, jak mówiłam, w przyszłą środę zaczynam chemioterapię. Czy mogłabyś się wprowadzić w poniedziałek? Miałybyśmy parę dni, żebym wszystko ci pokazała.

To oznaczało, że został mi tydzień. Ostatni tydzień bez odpowiedzialności i zobowiązań, po którym nastąpi co najmniej dwanaście tygodni prozy życia. Jakoś to będzie. Będę się starała choć trochę to wszystko ułatwić Christine i dzieciakom. Hej, w końcu rozprawiłam się z Markiem Dreherem! Najważniejsze, żeby przetrwała najbliższe miesiące i wyzdrowiała. I tak będzie – bo jeśli moja siostra wbiła sobie coś do głowy, to dopinała swego.

Nie wiem, jak dotarłam do domu po pożegnaniu z Christine. Z trudem przyszło mi się z nią rozstać, a na odchodne ścisnęłam ją tak mocno, że aż zabrakło jej tchu. Potem na oślep ruszyłam ulicami. Jak przez mgłę widziałam ludzi i budynki wokół. W domu skierowałam kroki prosto do kuchni. Bezsilnie klapnęłam na krzesło i schowałam głowę w ramionach.

– Hej, Marie – po chwili usłyszałam za plecami głos Hanny. – Co się dzieje?

– Christine ma raka – odpowiedziałam drżącym głosem. Wciągnęła ostro powietrze.

– O nie...

Przez parę sekund było cicho, a potem usłyszałam, że siada obok mnie.

Zaśmiałam się gorzko.

– Jeszcze wczoraj piliśmy za joie de vivre, a dziś się dowiaduję, że moja siostra ma nowotwór piersi. – Wyprostowałam się. – Badasz sobie regularnie piersi?

Hanna w milczeniu pokręciła głową.

– Ja też nie. W sumie jeszcze nigdy tego nie robiłam. A podobno trzeba, tak mówi Christine. Ona oczywiście regularnie bada piersi, bo zawsze wszystko robi, jak należy, a mimo

to zachorowała na pieprzonego raka. – Wygrzebałam z torebki papierosy. Już miałam zapalić, ale w ostatnim momencie wyrzuciłam je razem z zapalniczką przez drzwi na balkon. – Kurwa!

– Złotko... – Hanna przysunęła się z krzesłem bliżej i pogłaskała mnie po ręce. – Nie wiem, co powiedzieć.

Słyszając jej współczujący ton, o mało nie rzuciłam się jej w ramiona. Ale lepiej było nie zaczynać z płaczem. Nienawidziłam ryczeć, szczególnie przy innych. Nawet przy Hannie. Zamknęłam na chwilę oczy i chrząknęłam.

– Już dobrze. Sama nie wiedziałam, co powiedzieć.

Streściłam jej rozmowę z Christine i zakomunikowałam, że na parę miesięcy wyprowadzam się do siostry.

– Nie mam pojęcia, jak to będzie – zakończyłam. – W końcu nie potrafię nawet regularnie podlewać kwiatków. Jak mam się troszczyć o Toni i Maksa?

– Podziwiam cię, że się zdecydowałaś – stwierdziła Hanna. – Jeśli tylko będziesz potrzebowała pomocy, to dzwoń, okay? Jestem dobrą opiekunką do dzieci. Mogę też gotować, sprzątać, prać, robić zakupy, wszystko jedno.

– Błagam cię... Jesteś chujową panią domu, dokładnie tak jak ja.

Rozejrzałyśmy się po kuchni, w której panował istny chaos. W zlewku leżały brudne naczynia, na blacie widniały wyraźne ślady (nierównej) walki Hanny z przyrządzeniem sushi, w kącie piętrzyła się sterta starych słoików i butelek, a w koszyku na owoce marszczyło się parę jabłek.

– No dobra – oświadczyła z namysłem Hanna. – Masz rację, specjalnie się nie wyrywam. Ale to nie znaczy, że nie potrafię.

– No właśnie, ja mam tak samo. Ale wiesz, Christine musi przejść chemioterapię i wyzdrowieć. W porównaniu z tym zajmowanie się dziećmi i gotowanie przez jakiś czas to pikus.

– Dzieci i tak jedzą tylko kluski i naleśniki. A to akurat wychodzi ci znakomicie.

– Tak, a poza tym tylko się bawią lego i oglądają telewizję. Przynajmniej to właśnie razem robiliśmy, jak przychodziłam się nimi opiekować – usiłowałam uspokoić samą siebie. – Pewnie więcej w tym strachu, niż to warte. Pomijając chorobę Christine, oczywiście. Bo to będzie prawdziwy koszmar, nie ma co się łudzić.

– Tak, to naprawdę może być koszmar.

Z determinacją rozprostowałam plecy.

– Ale wszystko będzie dobrze, nie dopuszczam innej myśli. Christine da radę.

– Na pewno.

Przez chwilę w milczeniu gapiliśmy się w przestrzeń.

– Nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam na kontroli u ginekologa – odezwałam się nagle.

– Ja też nie. Powinnyśmy się tym zająć, co?

Obie chodziłyśmy do tego samego ginekologa, który miał gabinet parę domów dalej.

– Powinnyśmy.

– I co teraz? – zapytała Hanna. – Chcesz iść spać?

– Tylko nie to. Leżałabym sama w pokoju i wpatrywała się w sufit. Horror! Idziemy do Saal II? Mam ochotę na podwójną wódkę.

Kiedy stanęłam przy zatłoczonym barze, byłam szczęśliwa, że jestem wśród ludzi, którzy najwyraźniej w ogóle nie

mają problemów. Przez chwilę zastanawiałam się, czy zadzwonić do Sama i o wszystkim mu opowiedzieć, nawet już trzymałam w ręku komórkę, ale ostatecznie porzuciłam ten pomysł. To niczego nie zmienia, a i mnie wcale nie będzie lżej, jeśli mu się zwierzę. Poza tym nawet nie znał Christine i nie byliśmy ze sobą na tyle blisko, żeby wspólnie wałkować moje problemy.

Zamiast rozmawiać o siostrze, bez umiaru piłam alkohol. A kiedy pomyślałam, że Toni i Max są mniej więcej w tym samym wieku, co ja, kiedy zmarła moja mama, zamówiłam jeszcze jedną tequilę i zaczęłam flirtować z całkiem słodkim barmanem. W którymś momencie przez głowę przemknęła mi myśl, że Christine, która była dla mnie kimś najbardziej zbliżonym do matki, może przegrać walkę z rakiem. Zaciągnęłam Hannę do klubu i zaczęłam tańczyć jak wariatka. Muzyka była tak głośna i durna, że w końcu jakoś udało mi się odegnać ponure myśli. Po prostu trzeba się zachowywać tak, jakby wszystko było w porządku. Byłam w tym mistrzynią. A kiedy człowiek wmawiał to sobie wystarczająco długo, z czasem zaczynał w to wierzyć.